

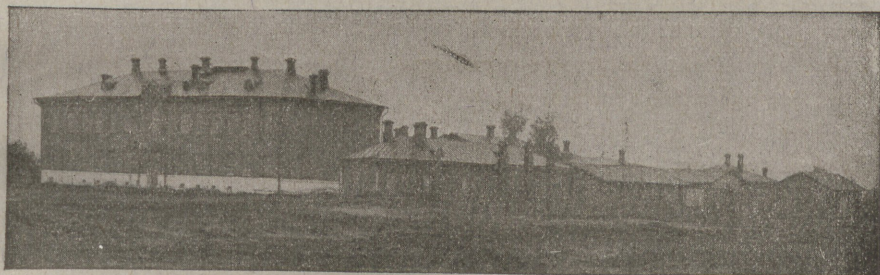
Rok IV.

DZISNA

Nr. 3-4.

NASZ GŁOS

**Dwumiesięcznik naukowo-literacki i społeczny.
Organ młodzieży szkolnej.**



Krew jednych spada na drugich i nieubłaganie o krew drugą woła, póki jej nie dostanie — złe, nie mogąc się oderwać od wiekuistego prawa duchów, wspólnia się, rozsiewa, rozptywa się po świecie z pokolenia na pokolenie, z epoki na epokę — i tem samem wykazuje, że z duchów wyszło i wśród duchówkrąży, bo warunku istoty ich i istoty miłości dopełnia.

ZYGMUNT KRASIŃSKI
„O stanowisku Polski“.

Rok 1933

Cena 50 gr.

Treść numeru listopadowego i grudniowego.

1. Od Redakcji.
2. Do królowej naszych wód — Naroczy (dokończenie).
3. Wspomnienie z obozu harcerskiego (dokończenie).
4. Wesele na Dziśnieńszczyźnie (dokończenie).
5. Święto Kupały (wiersz).
6. Impresje zimowe.
7. Dział dla młodszych:
 - a) Album z fotografjami.
 - b) A jak to było — opowiem.
 - c) Kochane zwierzę.
 - d) Mosarz.
8. Wolna trybuna:
 - a) Głos ucznia.
 - b) Po pierwszym okresie.
 - c) Młodzi i starzy.
 - d) Ze szkiełkiem i okiem.
 - e) Autorowi listu z Padwy.
9. Życie organizacyjne.
10. Kalendarz reportera.
11. Humor i satyra.
12. Odpowiedzi redakcji.

NASZ GŁOS

DWUMIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-NAUKOWY i LITERACKI.

Od Redakcji.

Tak życie rodzinne, jak życie organizacyjne, jest uwarunkowane wspólnotą ideową wszystkich członków. Dysharmonja między zapatrywaniami i tendencjami poszczególnych jednostek, jest czynnikiem chorobliwym dla organizmu państwowego, jakoteż samorządowego i rodzinnego. Jakkolwiek kilkakrotnie ukazywały się definicje samorządu uczniowskiego na łamach „Naszego Głosu“, to jednak dużo z nas nie rozumie etyki samorządowego życia.

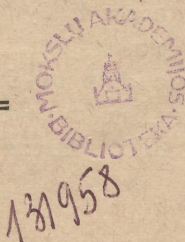
Sądzimy, że samorząd jest pompą ssącą, wyciągającą pieniądze z kieszeni, że nic on nie daje nam, a tylko od nas bierze.

Praca w samorządzie jest bezinteresowna!

Samorząd uczniowski jest szkołą życia na płonce szkoły, która krzewi wiedzę. Obejmuje on „całą“ młodzież obojga płci. Żle jest wtenczas, gdy obok chętnych i pożytecznych są szkodliwi i niechętni. Taki stan rzeczy popycha życie samorządu po wypadkowej dwóch kłócących się kierunków. Obok tego podziału na korzystających i bezinteresownych członków samorządu wchodzi w grę fałszywa ambicja i upór, by przeforsować swoje widzimisię.

Naturalnie w takich warunkach organizacja pracować owocnie nie może. Energja wyladowuje się w ustawicznym zwalczaniu się. Koledzy! Bez frazesów! Dążyć do celu pod hasłem: precz z egoizmem i ambicjami przyziemnymi.

Red. (M. A.)



„Do królowej naszych wód — Naroczy“.

(Wspomnienie z harcerskiej żeglarskiej wycieczki na jez. Narocz).

(Dokończenie).

Nazajutrz około ósmej rano opuściliśmy Leonpol. Ranek był pochmurny, ale wiatr nam sprzyjał. Rozwinawszy żagiel, łódź nasza mknęła dość szybko popędzana wioślami. W kilka godzin potem minęliśmy patrol 19 baonu „Druja“. Nie widać tu ani z jednej polskiej, ani z drugiej, łotewskiej, strony słupów granicznych i jakoś swobodniej czuliśmy się między sąsiadami Łotyszami i Niebo tymczasem rozpogodziło się. Rozświeciły się wielobarwne promienie słońca, obiegły niebo—pieszczą niebieskawe chmurki—i gina, hen, w przestworzach. Słońce, przesłaniane chwilami przez sunące obłoki, zdawało się uśmiechać, lub, chowając się, wstydić. Zdaleka zarysowuje się na horyzoncie coś białego na tle drzew, coś wyniosłego, nakształt wieży. Pytamy się młodych ludzi, łowiących ryby, czy to Druja? — „A tak, panoczku, heta Druja widać zdaleka“. Mamy przebyć jeszcze kilka kilometrów. Czas mija, a droga ubywa. Rozróżniamy już dobrze wieżę kościoła nad samą Dźwiną i przed nami, tonącą w zieleni, wyspę. Przed samą Drują Dźwina tworzy rozgałęzienie, rozlewając się dość szeroko. Płyniemy, przypatrując się widokowi, aż tu nagle łódź nasza zatrzymała się na mieliznie. Tu, w odległości 50 m. od brzegu mielizna! To doprawdy pech (taki, który prześladowuje niektórych sztabaków). Musimy cofnąć łódkę i c płynąć mieliznę, a ponieważ często w takich wypadkach naraz wyłania się kilka projektów, więc powód do sprzeczki. Jeden flegmatycznie odpycha łódkę, drugi wije się ze złości, krzyczy na trzeciego, śmiejącego się z tak wielkiego wypadku: „—bo zjadę wioślem!“ Czwarty natomiast siedzi i... śmieje się w duchu z wszystkich trzech. Nareszcie udaje się nam cminąć mieliznę i po kwadransie przybijamy do brzegu. W Druji zwiedziliśmy godne uwagi budowle, nowowubudowaną kolej Druja—Woropajewo. Zrobiono kilka zdjęć z kolegami gimnazjum drujskiego, następnie, syci wrażeń, korzystamy z zaproszenia koleżanki Gieni M., czyniąc wielkie spustoszenie, oczywiście w tem, co się zowie „darem Bożym“. Zatrzymaliśmy się narazie w izbie harcerskiej, w gimnazjum, nocleg zaś wypadł u znajomych kolegów. Następnego dnia byliśmy na modlitwie przedlekcyjnej w gimnazjum, poczem, rozegnawszy „sztabaków drujskich“, i zabrawszy swoje plecaki, dcść jeszcze wypchane rajpotrzebniejszymi wiktua-

łami, wsiadamy do czółna i, z miarowym pluskiem wiosel, odbijamy od brzegu. Z okien gimnazjum powiewają chusteczki sympatycznych koleżanek i nie milkną okrzyki kolegów — pomyślnej żeglugi. Łódź z żaglem pruje lekko sfałowaną Dźwinę, a my z „bólem serca i ze łzą w oku“ jak ktoś powiedział, nucimy naszą pieśń o Bałtyku. To, co przebyliśmy było poprostu niczem w porównaniu z tem, co nas w niedalekiej przyszłości czekało. Za miastem do Dźwiny wpada napozór, rzecz możnaby, mała rzeczka, Drujka. Skierowujemy więc czółno na ten dopływ i z wiatrem płyniemy pod prąd, spokojną „pełnowodną“ Drujką. Wszystko byłoby w porządku gdyby Drujka nie wiła się, nie tworzyła tyle zakrętów. Po półgodzinnej żegludze okazało się, że Druja jest z boku nas, a więc kołujemy nieźle. Zwijamy żagiel, albowiem wiatr jest teraz raz z tyłu, lub z boku, lub z przodu i gdy wionie, pochyla równocześnie maszt raz w jedną, raz w drugą stronę. Prąd początku słaby, lecz skoro brzegi, porośnięte drzewami i krzewami, zaczęły się wznosić, i spadek rzeki był większy, co ipso prąd stawał się wartszy, prędkość jego wzrastała, a wytwarzające się fale szemrały po kamieniach coraz głośniej, zamieniając swoje ciche rozhowory w szum i wściekły ryk... Uartemi drogami chodzi się łatwo. Czasem odpowiadają człowiekowi wygodne drogi bite, nawet asfaltowane. Idzie sobie taki człeczyna co, zdaje się, Bogu ducha winny, przez pola i lasy, ścieżkami górskimi, któremi jeszcze jego przodkowie chadzali, lub gościńcem, którym kiedyś dyliżanse pocztowe woziły listy jego pra-pra-pradziadka do pra-pra-prababki w czasie ich narzeczeństwa. Mija mosty — i zaledwie zwróci uwagę, że za nim już została potężna, może i wspaniała rzeka. Taki prapotomek ludzki idzie za przykładem swych bliższych i dalszych krewnych, którzy też tylko temi drogami chadzali i chodzą. Wśród rzesz takich ludzi, idących uartemi drogami życia, trafiają się często wyrodki, którym za małe są wydeptane ścieżki, albowiem ich znudzają wzniosłe deklamacje, że życie jest piękne, sami chcą poszukać tego piękna; idąc gościńcem, gdy natrafiają na most, lub kładkę, tacy dają bez namysłu nura do wody ku przerażeniu ludzi statecznych. Drużyna nasza wykazała, choć w nieznacznej części taki skok do wody, pokazując, że nietylko ona może dysponować uartemi drogami. Projekt wycieczki żeglarskiej dawno się zrodził, a impulsem do niego było pływanie po Dzisiejce. My otoczeni wodą, a chodzący drogami, tutaj na wycieczce przekonaliśmy się, że ci, co mówią, że życie jest piękne, mają rację. Ptak, któremu związane skrzydła, nigdy nie zrozumie tego, choćby się znalazł w największej wy-

godzie, nawet w raju, ale ze swemi skrępowanemi skrzydłami! Dla człowieka młodego dopiero wtedy ma piękno urok życia, kiedy czuje się wszędzie swobodnie, nie tylko na zmurszałym łądzie. A np. woda daje tyle wrażeń i przeżyć przepięknych, o których „szczury“ łądowe nie mają nawet najmniejszego pojęcia. Człowiek w walce z żywiołem może zaznać dopiero tej swobody życia, kiedy spojrzy oko w oko rozhukanemu żywiołowi, gdy zerwą się łańcuchy, trzymające małą żaglówkę, uskrzydloną łupinę i gdy ona drgnie i ruszy wiatr żaglem, pochylając w jedną lub drugą stronę, wreszcie, gdy każdy blok kamienny urąga i śmieje się twardo i mądrze: zechciej być, albo nie być... W minjaturze doznaliśmy tego napozór, jak zaznaczyłem na spokojnej Drujce. W Wistocie, jak się okazało, była ona straszną do przebycia. Prąd gwałtowny, rwący; rzeka spieniona koloru kawy, huczy w dole podczas, gdy wysokie brzegi zarosłe przesłaniają widok, a na rozhukanych falach czterej samotni, opuszczeni harcerze walczą z rozszałym żywiołem rzeki.

Dwóch na zmianę holuje czołno, skaczące po falach, dwóch siedzi w niem, sterując i odpychając go od brzegu. Położenie nasze bez zazdrości: lina, raczej grubszy szpagat, mokry od padającego deszczu, łatwo przerywa się, zawadzając o naginane zarośla, pęka i łódź z szumem, bokiem prąd znosi o jakieś 100 m. w tył, przytem woda z pluskiem wlewa się do czołna. Związujemy linę. Rosnące drzewa nad brzegiem uniemożliwiały przekładanie liny i holowania czołna. Nareszcie po kilkogodzinnej walce dotarliśmy do maj. Surmaczowa, p. Miłaszowej. Tu znaleźliśmy pomoc w charakterze liny oraz obiadu, od tyłu dni niewidzianego. Gościnność polska okazała się w całej pełni. Na tem miejscu obowiązkiem moim jest złożyć podziękowanie w imieniu drużyny p. Miłaszowej za gościnność.

Cokolwiek wypoczęci, zabieramy się do dalszej walki z niesłabnącym żywiołem, uderzającym gniewnie i przypuszczającym szturm nawałnicy do naszej łódki, a zdającym się bić w pierś żeglarzy pytaniem: dokąd? dokąd? Tu trzeba walczyć i myśleć, i czuć i być w każdej chwili przytomny wszystkiemi władzami duszy. Deszcz wzmaga się. Pochylone drzewa strącają swemi konarami czapki z głów, a mokre gałązki niemilosiernie policzkują raz po razie. Brzegi wyniosłe, strome, a gliniaste, rozmokłe są prawdziwą ślizgawką wiosenną, co gorsza, rozmiękle na ciasto, utrudniały poruszanie się. Buty mokre dźwigały na sobie całe „pu-
dy“ gliny. Utrudniony dostęp do przekładania liny przez drzewa

dla holowania czółna, połączony był — bez przesady — z brnięciem po pas w wodzie. Niebo, zaciągnięte było ciężkimi, ołowianemi chmurami. Deszcz nie ustawał, mrok zwolna zaczął zstępować na ziemię, powietrze było przesycone wilgocią, do szpiku kości przenikająca chłodem. Czarne gałęzie olch i brzoź, nasiąknięte wodą, jak gąbka oślizgłe, ociekały niby łzami, a w dole rzeka szumiała i nic ją nie wzruszało, jakby niepomna, że noc zapadała powoli. Należało się i nam, wyglądającym jak widma, i ociekającym wodą pomyśleć o dachu nad głową, albowiem ten, jakiśmy mieli, i który nas przykrywał, zaczął zbyt ciężać, a przytem chłód przyjmował nas dreszczem. Dwóch z nas, po mozolnem wydostaniu się na brzeg wyniosły, poszło szukać jakiegoś kąta na nocleg. Już było ciemno, kiedy wrócili nasi, otrzymawszy pozwolenie na nocleg. Ukrywszy łódź, przywiązana do drzewa, a wzięwszy niezbędne rzeczy, wydostaliśmy się na brzeg i przez pole ruszyliśmy w kierunku odległego o jakiś 1 km. folwarku. Gospodarze spali już snem błogosławionych, uraczywszy nas dzbanem mleka. Następnie rozpaliliśmy piec i zaczęliśmy „wszystko, co nasze” — tylko nie śpiewać, — ale suszyć! Suszyliśmy wszystko, poczynając od czapki, a skończywszy na butach. W końcu danem nam było ułożyć się pokotem na podłodze, skąd po krótkim czasie rozległy się basowe chrapania czwórki, przemęczonej i zziębniętej, a czystej, zadowolonej i radosnej, i śmiejącej, że „życie jest jednak piękne”...

O Narocy innym razem.

Wiktor Gintowt (VII).

Wspomnienie z obozu harcerskiego.

(Dokończenie).

Wieczorem było rozpalanie ogniska na terenie obozu. Te swoje wieczorynki harcerskie, ogniskujące wszystko co radosne, twórcze i społeczne były przy rozpalonem płomienisku najlepszym dowodem życia obozowego. Były nasze „Ogniska” próbą sił artystycznych w gromadnym popisie śpiewy chóralne i solowe, deklamacje, opowiadania, żarty, nawet sytuacje scenicznych obrazków, chwyczone na gorącym uczynku obserwacji koleżeńskiej śród nas samych — składały się na program ogniska lub dawały surowy materiał dla wszelakich improwizacji. Ogniska nasze miały propagandowy cel. Ludność wioskowa chętnie przysłuchiwała się lobuzerji miasta. A mieli chłopci i wobec nas szacunek, pamiętni wszelakich czynów samarytańskich „har-

cerza". Widzieliśmy często, odwiedzających nasz obóz—gości z Wilna Landwarowa lub Trok.

Po odbytem „ognisku“ ogarniała senność, bo zbliżała się wolnym krokiem cisza nocna. Cudny moment służby harcerskiej—to warta obozowa. Cóż to za rozkosz być samą wśród nocy letniej. Co za przepych nastrojowych wrażeń! Jakaż ulga dla nerwów po całorocznej udręce w szkole! Słuchać szumu strumyka w dolinie, głosu nocnego ptactwa, szumu skrzydeł sowy, podczas burzy—świstu wiatrów—to ehyba jedyna w swym rodzaju poezja niepisanych wierszy. Wtenczas dusza opuszcza nasze ciało, błądzi po świecie, wciela się w żywioł nocy letniej, przeżywa podwójnie radość i wraca, upojona światłem bajecznych miraży, kaskadą krynicznej tężyzny. Ale piorun mógł zabić złąknioną i półżywą harcerkę. A podczas takiej błyskawicowej nocy warta obozowa była upiornym snem. Imaginacja zsyłała potworne obrazy. Lęk wyolbrzymiał grozę przyrody całej, oświeconej reflektorem błyskawic. Chciało się zapaść pod ziemię, by ujść cało przed gromem. Dusza kamieniała, jakby widziała głowę Meduzy!

Były też obok normalnej warty nocnej t. zw. karne alarmy. Wprzeciągu siedmiu minut musiało się być gotowy do wymarszu. Przypadek to, gdy człowieka budzą i przerywają błogi sen. Złość człowiekiem wtedy miota. Febra trzęsie jak trzcina! Gdyby to były tylko wymarsze. Gdzie tam —i „podchody“, i wywiady i przekradania się, i inne eskapady. Były to chmurki na jasnym horyzoncie harcerskiej sielanki. Był i t. zw. dziki dzień. Bywało takie bezkrólewie zazwyczaj pod koniec miesiąca. Komenda wtedy już nie wydaje żadnych rozkazów. Robi każdy, co chce i jak chce. Nie było w takim dniu ani karnych raportów, ani mycia kotłów, ani innych „przyjemności“. Polegało nasze życie na samowystarczalnej samodzielności i zaradności.

Pewnego dnia wyruszyliśmy do Trok. Po drodze oglądałyśmy dwór hr. Tyszkiewicza i piękny park z alejami. Podziwiałyśmy białe posągi. Po pewnym czasie miałyśmy znów piękny widok. Ujrzałyśmy ruiny zamku Giedymina. Troki same nie mają uroku: brudne miasteczko, dużo zaduchu, moc Żydów ubogich. Ciekawi są Karaimi. Oryginalny ich dom modlitwy. Dużo w tem jest tatarszczyzny. Swoisty mahometanizm. Z Trok przeprawiliśmy się przez 7 jezior. Przeprawa ta wśród nocy miała czar iście romantyczny. Życie we śnie. W drodze powrotnej miałyśmy głowy pełne wrażeń. Ostatniem wrażeniem harcerskiem był pożar wsi, spowodowany brakiem ostrożności dzieci. Dzięki harcerzom pożar zlokalizowano.

Ponieważ nie wiecznie nie trwa, przeto i nasze wywczasy kres swój miały. Nastąpił czas powrotu. Gwizdek. Zwijanie obozu

rumor, krzyk, śpiew i wspomnienia. Ciężko było na sercu, bo nie chciało się opuszczać tych uroczych stron, gdzie czas minął, jak chwila upojenia.

Boże! Już powrót, jak przez sen. A jednak to prawda, Dom, szkoła, kłopoty i wciąż szara nuda. Ach, plecak na ramiona i dalej przez wertepy, błota, kamienie i piachy.

Czuwaj! Czuwaj — zagrzmiała woda, odpowiedziały lasy. Ze śpiewką poszliśmy z kraju górnych losów do nizin hreczkosiejów.
— Oto zapiski z bruljonu dzienniczka. Bronisława Gimzewska (VII)

Wesele na Dziśnieńszczyźnie.

(C. d.)

Panna młoda siada na kozuchu, aby być bogatą. Stare zaś kobiety zaczynają śpiewać:

„Zajhrajcie muzyki, zajhrajcie
Na nowym ganaczku stojuczy.
Pakorsia, pakorsia up. Ninaczka,
Každamu u nożki pakłońsia,
Staroha, małoha nie minaj,
Každamu pakton daj.

Pasadzili kalinu, pasadzili malinu
Wdobry czas na pahodzie,
Ani wietry nia wiejuć,
Ani doždzy nia krepluć.
Pasadzili Ninaczku na pasadzie,
Ani hałowki nia kłonić,
Ani słozak nia ronić.“

Po ukończeniu tej pieśni przynoszą rodzice na „padarunak“ chleb z solą, pieniądze i wełny trochę (aby ich córka była bogatą):

„Dola twaja, szezascie twajo Ninaczka
Doryć ciabie twaja matulka rodnaja.
Nie chaci ty ni złota, ni srebra,
Tolki chaci—doli, szezascia i chleba“.

Nie prawdziwaja kalinka
Kazała ćwicieć nia budzić,
Kazała jahadak nia budzić.
Jak przysła para—zaćwiła,
K'światomu Isfasu¹⁾ paśpieła,

Nie prawdziwaja Ninaczka.
Kazała zamuż nia pczdzić.
I Mikołku lubić nia budzić.
„Ciomnaj noczkaj u Dunaj za wadoj
chadzila,
U jaho śladoczek stupiła.
I tady jaho palubiła.“

To samo dzieje się u pana młodego. Sąsiadki też podzielone na dwie grupy śpiewają, nieco odmienne pieśni:

„Siadzić zajka pad jolaczkaj
Woczki tręc,
Jedzić Mikołka
Zajku bjeć.

„Za szto mianie, Mikołka, bjesz?
Ci ja tabie waranych koni apudziw²⁾,
Ci ja tabie Ninaczku adhudziw³⁾ ?

Wieczar, wieczar, nia wieczarysia⁴⁾,
Jedź Mikołka da szlubu.—nie paźnisia,
Użo twaja wiacerka pyłam zapala,
Twaja Ninaczka wyszła za pana.
„Maja wiacerka pad nakryćciom stała,
Maja Ninaczka na pasad siela“

¹⁾ św. Ispas 6 sierpnia, ²⁾ apudziw—przestraszył, ³⁾ adhudziw—zgañił,
⁴⁾ nie wieczarysia—nie przedłużaj się.

O ile, „maładaja“ lub „maładyj“ nie mają matki lub ojca, to pieśni im śpiewane mają charakter rzewny:

Stali pastali, dary pakłali, Paradaczku nień.	Ni mahu wstaci — majo dziciaci, Jałowyje doszki ścisnuli nożki
Paszli choć saławiejku, pa rodnaju matulku.	Ni mahu wstać. Zialeznyje ćwieczki, ścisnuli pleczi
Saławiejka łohkaja ptaszaczka, Rana wstawajeć, żałasna śpiewajeć,	Ni kranuć. Żouty piasoczak zasypaw woczki
Matulku wzbudzić: „Ustań matulka, ustań rodnaja.“	Ni wzhlanuć, Zialony dziarouczyk zacisnaw hrud- cy ¹⁾
	Ni dychnuć.

Jednocześnie z temi pieśniami obdarzają krewni „maładuju“ materiałem na suknie lub pieniądźmi. Oprócz tego licznie zebrane sąsiadki „niosą na podarunak“, zaco otrzymują kieliszek wódki.

Po tem śniadaniu zbierają się do ślubu.

Rodzice błogosławią „maładoj“, wzg. „maładomu“. Następnie matka nakłada kozuch sierścią na zewnątrz i obsypuje cały orszak owsem, aby jej córka ewent. syn był bogaty. Zależnie od umowy młodzi spotykają się w domu panay młodej, albo przed świątynią. Aktualniejszy jest ten drugi wypadek. Po ślubie wszyscy jadą do rodziców panny młodej, którzy paradne przygotowują dla nowożeńców przyjęcie. Sąsiedzi witają „maładuju“:

„Kudy jeździła, szto pradala?
„Pradala dziewockaju krasatu,
A kupiła zanocekaju tasznatu“.

Po odśpiewaniu tej pieśni wychodzą rodzice i, stojąc w drzwiach na kozuchu lub płótnie, częstują nowożeńców miodem i wódką. Młoda para również ma drogę usłaną płótnem (aby była bogatą).

Przy dźwiękach harmoszki i śpiewie sąsiadek prowadzą „maładych“ do mieszkania, gdzie stoły są już zastawione. Siadają w ten sposób: najpierw siada panna młoda, mając z prawej strony młodszą „bajarkę“, a reszta bajarek zajmuje miejsce z lewej strony. Wypada tak, że pan młody nie ma miejsca, wtedy jego „namiestnik“ musi kupić dla niego miejsce, zajmowane przez młodszą bajarkę t. j. z prawej strony u „maładoj“, aby dokonać tranzakcji, „nadkośnik“ panny młodej ostrzy nóż o bochenek chleba, aby uciąć warkocz pannie młodej. W interesie „maładoha“ leży nie dać zeszpecić swej małżonki. Daje przeto okup „nadkośnikowi“, unikając jednocześnie „przykrość“. Po ukończeniu tej ceremonii rozpoczyna się uczta—pijatyka, urozmaicona pieśniami:

¹⁾ hrudecy (zdrob.) -- pierś.

Siadźcie hałubie, na pierarubie
 Bob klujeć.
 A kala jaho hałubka—pszonaczku
 Jak kluj, dyk kluj maja hałubka
 la mianie
 Prychynaicca majo pierjika da ciabie.
 Siadźcie Mikołka za stałom
 Herelicu pjeć
 A kala jaho Ninaczka—miadoczek
 Jak pij dyk pij Ninaczka la mianie
 Prychynaicca majo serce da ciabie.

Z końcem uczty nadchodzi czas odjazdu do „maładoha“. Przedwyszystkiem „starszy swat“ albo „kubielnik“ zabiera dobytek i anny młodej. Pozostali zaś goście skrzętnie zamiatają podłogę, aby „wymieść“ dziewczęta. „Maładucha“ natomiast pociąga serwetę ze stołu, a idąc skubie koleżanki za suknie, aby „wyciągnąć“ zamąż. Sąsiadki okazują się niezmordowanemi i śpiewają:

„Siadźim matulka pawiaczerajem z taboj.
 Pawiaczerawszy—pahaworym z taboj.
 Pahawa ywszy—padzielimsia z taboj.
 Tabie matulka nowaja chatka, kamora,
 A mnie maładzieńkaj—skrynia, piaryna, karowa.

albo:

Zawidawała ¹⁾ szera ziaziula saławju, Tabie lepiej saławiejka niaczym mnie. Ty palacisz u wiszniowy sad A ja nie.	Zawidawała Ninaczka Mikołku, Tabie lepiej Mikołka niaczym mnie. Ty pajedzisz u swaju chatku A ja nie.
Ciabie piarejmuć drobnyje ptaszki A mianie nie.	Ciabie piarejmić rodnaja matulka, Mianie nie.
Ni dbaj, ni dbaj szera ziaziula nipa- czom, Palacim u wiszniowy sad ni pa adnom A palaćim u wiszniowy sad u dwaich Nas piarejmuć drobnyje ptaszki abaich.	Ni dbaj, ni dbaj Ninaczka nipaćzom, Pajedzim u maju chatku ni pa adnom, My pajedzim u maju chatku u dwaich, Nas piarejmić maja matulka abaich.

Konie już są przygotowane.

Tłumy młodzieży wiejskiej zalegają podwórze. O ile wśród mężczyzn jest ten, który adorował obecnej „maładoj“, nakładają jemu wianek z grochowin, na znak „żałoby“, po utraconej dziewczynie. Dziewczęta zrywają chłopcom czapki i ciskają je na wozy, aby wyjść rychło zamąż.

Wśród gwaru opuszcza orszak weselny dom „maładuchi“. Po drodze „prydanki“ t. j. ciotki i siostry zamężne „maładuchi“ śpiewają:

¹⁾ zawidawała — zazdrościła.

Rawuć koniki, rawuć,
 Bahatyrku wiazuć.
 Sa skryniami, piarynami
 I z puchowymi paduszkami,
 I z czyrwonymi istuszkami ¹⁾,
 Stnozać koły, stuczać,
 Szałkowyje parady szumiać.

Zbliżywszy się do domu drużyna pana młodego śpiewa:

Adczyniaj matulka nowy dwor,
 Wiaziom niawiestu jak jawor.
 Adczyniaj matulka swiatlicu,
 Wiaziom niawiestku swaryeca. ²⁾

Jednocześnie licznie zebrane na przyźbie sąsiadki odpowiadają śpiewem:

Razwiażycie, pakażycie
 Dy szto tut za kniahinia.
 Ci budzić z jaje haspadynia.
 Może jakaja biazlepica ³⁾,
 Budzić u chacie biazchlebica.

Po przyjeździe doznają one takiego samego przyjęcia jak i po ślubie u rodziców „maładoj“. Przedewszystkiem idą wszyscy do komory, a stamtąd dopiero do mieszkania. Panna młoda wchodząc częstuje sąsiadki cukierkami. Sąsiadki ze swojej strony starają się wybadać spostrzegawczość pannej młodej. Rzucają więc jakiś drobny przedmiot na podłogę. O ile go ona znajdzie—znak nieomylny, że będzie dobrą gospodynią. Po tej próbie, zaczyna się pijatka w pełnem słowa tego znaczeniu. W międzyczasie odbywają się tradycyjne śpiewy i pląsy, a z nimi charakteryzacja współbiedników. Panna młoda musi ukłonić się wszystkim, oprócz męża. O ile natomiast mąż jest tak ucharakteryzowany, że nie pozna go i ukłoni się, to znak, że będzie jemu uległą „Maładuca“ przywozi dużo „pajasow“ t. j. pasów, utkanych z kolorowych nici wełnianych i obdarza nimi krewnych swego męża. Oprócz tego, ci ostatni wszelkimi sposobami starają się zdobyć „pajas“ podstępnie. Atmosfera jest przeładowana humorem. Nie brak też żartobliwych, a przytem nieprzyzwoitych piosenek.

Po uczieie następują tańce, a po tem odjazd do domu. Odjazd zazwyczaj bywa poprzedzany śpiewem:

¹⁾ Istuszkami — wstążkami,

²⁾ swaryeca — kłócić się,

³⁾ biazlepica — rozlazła kobieta.

Piatuch pjajeć, a brat siastru damou zawieć:
 „Siastryca— zara, damou para.“
 Stać konik na stajency hahoczyć.
 Nasza siastryca zastaci nia ehoczyć.
 Stać konik na stajency nożkaj tup,
 Astawajsia siastryca użo tut.

Goście pana młodego śpiewają choć żartobliwe, jednak uszczypliwe pieśni:

Zwalitasia szapka z stołu daŃou
 Jedźcie swaty k'czortu damou.
 Wy użo nam nadajeli,
 Koni sałomu pajeli,
 Arżanuju ¹⁾ miakinu,
 Kała płotu krapiwu.
 Hdzie pradanki siadzieli,
 Try dni ławki śmiardzieli.

Na tem kończy się obchód uroczystości weselnej.

Powyższy opis maluje nam ceremonję weselną w ogólnych zarysach. Nie trzeba sądzić, że dosłownie wszędzie powyższe pieśni obowiązują biesiadników. Każda wieś ma sobie właściwe pieśni i formy. Wszystkie pieśni wszystkich miejscowości są podobne ale nie identyczne. Pisząc, brałem materiał z okolic Łuzek. Będąc na wakacjach, dowiedziałem się o tem z ust „mistrza“ w tej sztuce.

M. Andzilewko.

Święto Kupały

*Zmierch się zbliża wolnemi krokami
 Po dniu żrących upałów, zsyłając westchnienia
 Rozkwieconych pól, zapach—co sennie tak koją
 Ocinając tęsknicą i dumką oblicze.*

*Zmierch nadchodzi z ostatnim przebłytkiem zachodu
 Szaleł szarym przez niebios krąg okryty bieży,
 Wpada w pola, na łąki, na drzew liście młode,
 Znika w dali wraz z szmerem wieczornych pacierzy.*

¹⁾ Ażarnyj — żytni.

*Cicha Noc Świętojańska gwiazdami usiana,
Rozpostarła czern włośów, z pośpiechem biegnąca
W stronę lasu, gdzie dzika, zarosła polana
Lśni dziwacznym kobiercem w poświacie miesiąca.*

*Księżyc wptynął zielonych promieni kaskadą,
Ukazując twarz bladą z upiornem weselem;
Fantastyczne drzew cienie na łąkach się kładą,
Biegną między jałowce, paprocie i ziela.*

*Znagia ciszę rwie nocny gwar rozmów i śmiechu,
Wiejska młodzież z piosenką wesolą nadchodzi,
Mkną dziewczęta, jak sarny w płochliwym pośpiechu,
Z niemi chtëpcy, jak fala wiosennej powodzi.*

*Bucha iskier snop złoty wielkiego ogniska,
Leci piosnką na lasy, wzywając człowieka,
Z smutnych oczu myśl szczęścia nieśmiało wytryska
I mgłą smutku i żalu skroń starców powleka.*

*Hej, weselcie się ludzie
Kwiat paproci znajdziemy,
Niech dziś każdy się zbudzi:
Głuchy, ślepy i niemy.*

*Hejże, szukaj swej doli,
Nowych dróg nam potrzeba!
Kiedyż Bóg nam pozwoli
Mieć dość soli i chleba?*

*Czemu dusza tak płacze,
Troską życia zabita,
Hej! my biedni oracze,
Gdzie nas szczęście powita?*

*Łkają głowy schyłone nad dolą wieśniaczą,
Patrzą żrejącym jadem w czerwoność płomieni,
Oczy dawno wygasły i więcej nie płaczą,
Bo szkieletów zgłodniałych już Krzyż nie ocieni.*

*Choć wam czart pierś przygniata
Nie niszczyć Zła życia,
Szukać zemsty wśród świata,..*

Ha, ze smutkiem młodzieńce,
Ha... ze łzami dziewice
Z łez biedaków pleść wieńce!

Bieży krzyk młodych orłów przez lasy uspięne,
Bije w przestwór gwiazd boskich kaskadą perliście,
Tętnią serca we wnętrzu rozgłośnie, jak dzwony;
Cicho wiszą w bezruchu sosnowe okiście.

Pieśń upaja, jak nektar, dźwiękami rzewnemi,
Koi rozpacz łagodną pieśczęcią,
Ścisza ból, głuszy echo, łagodzi łez brzemie,
Snując bajkę o szczęściu, bańkę rojeń złotą.

O, Kupalo, Kupalo
Że ja piękna i młoda
Błądzą serca szukając,
Czemu to się tak stało,
Że ja błądzą szukając?

Pójdę w dal, w głębię boru,
Zdobędę kwiat paproci,
Znajdę szczęście tak wielkie,
Co mi życie ozłoci.

Płacze wicher na drodze,
Łamiąc dębów konary —
A mnie smutno niebodze!

Pod wysmukłych drzew cieniem stał młodzian wyniosły,
Z czystym sercem, jak kwiaty, z uczuciem, jak morze,
Leśne duchy go kryjąc na skrzydłach go mosty
W raj, co bramę tęczową dla szczęścia otworzy.

Hej ma dola, ma dola,
Blasku rojeń zwodniczy
Nikt mych łez nie policzy,
Gdzie me krwią złane pola!

Po co żyć...
W błocie topić się po co?
Kiedy troska nas gniece,
Darmo walczyć z przemocą!

*Poszedł młodzian dorodną postacią wspaniałą,
Szukać kwiatu paproci w najdzikszce gęstwiny.*

*Ujrzał oczy gorące, co tak go kochały,
Oczy czarne, ogniste przecudnej dziewczyny.
— Szczęście moje znalazłem! — rzekł młodzian zuchwale,
Porwał dziewczkę na ręce, do piersi przygarnął.
Księżyc z nieba się patrzył i srebrzył w oddali
W Świętojańską*

*. noc cichą
. pobladał
. i parną.*

*Świt wyciąga ramiona zwodnicze,
Idzie znowu przez lasy i pola.
Upojenie mignęło. Są tzy. W tzach oblicze.
I cmentarny znów spokój, i piaszczysta rola.*

Dymitr Kasaty (Va)

Impresje zimowe.

I.

Stoję na środku ulicy. A ona cała ucieka z pod mych róg i wije się, wije—długo, dopóki nie zniknie z przed oczu—gdzieś na zakręcie. Brukowana, obramowana chodnikami i strzeżona przez domy ulica—droga. Rozprzestrzeniła się mroźna, rzeźka i sucha cisza. Dziś wypadł śnieg poraz pierwszy. Przygnieciony, rozbity leży na chodnikach, rozsypał się po ulicy, po ścieżkach i bryłach. Lampa elektryczna zbudziła swe oczy. Refleksy światła odbija ciemniejąca, sztywna, błyszcząca niebiesko, płachta nieba. Idę. Kroki brzmią głucho, zamarzła i pormarszczona od mrozu ziemia jest dla nich obca—ostre rysy grudek nie znoszą podeszew. Dokąd odeszła jesień szeleszcząca i dmu chająca w liście—przytulna?! Tak jest ciasno. Niema nic naturalnego. Zdeptany, zbrudzony śnieg, starannie pielęgnowane drzewa i trawa przygnieciona kamieniami brukowanej ulicy. Uciekam z miasta. Nogi ożywiają się same i chętnie ciągną naprzód. Naprzód. Pole. Soczysty mróz zaiskrzył w gwiazdach śnieg, ten przykrył wszystko, a trawy wychylające się nad poziom oplółł on swoją powłoką. Błądzące oczy znalazły wreszcie oparcie. Szerokie pole zszyło się z widnokrzem—widzę to. Niepowstrzymywane, pobudzane zdrowym chłodem, realizują

i rodzą się myśli same. Dobrowolnie odnalazły się, uszeregowały we wspomnieniu. Stała przedemną ona. Rozpływająca się i obojętna—daleka. Nie potrafię dobrze odtworzyć jej wizerunku. Może przypomi mi ją dokładnie, leżąca gdzieś wśród wielu innych, fotografia. Teraz nie przypominam sobie dobrze jej twarzy. Tak a tak wyglądała—ale gdy zechcę się oprzeć o jakiś szczegół, wyodrębnić coś konkretnie uchwytne,—wszystko ucieka. A pamiętam te czasy, gdy nosił jej wizerunek w sobie i wywoływał jej twarz, dokładną, żywą, żywszą niż w naturze, na każde wewnętrzne, gorączką nacechowane zawołanie. Pamiętam wiele. Zarośnięte szronem ścieżki deptaliśmy, gdy były ciepłe, jasne noce. Chodziliśmy niemi w rozmarzonym zlanu się, ja i ona, ona i ja—całość sfanowiliśmy.

Obiecywaliśmy sobie miłość, miłość co, się nie skończy, co do grobu będzie trwać, miłość, dzięki której nic nas nie rozłączy. Ona i ja. Ona beze mnie, ja bez niej żyć nie mogłem. A dziś... a dziś? — pytam siebie. Jej imię nie zawiera w sobie nic nadzwyczajnego, w kalendarzu mogę znaleźć tyle, tyle ładniejszych imion. Czemuż to? Wysilam się, przeprowam tem pytaniem siebie, sonduję i nic nie mogę znaleźć. Czemu to tak się dzieje, czemu to?...

Tak lubiłem ją i żyłem letniami wieczorami z nią spędzonymi. Teraz nienawidzę tej miłości, głupiego sentymentalnego księżycy, tych słów, słów, które same spływały nam z warg, przejrzyste, zrozumiałe, bliskie, które zdawały się nas wcale nie nudzić i które zawsze były jeszcze blade wobec tego, co czuliśmy! Teraz nienawidzę tych słów, nienawidzę tak silnie, jak przedtem niemi się upajałem; pragnąłbym wargi swoje trzeć i trzeć— aż dopóki nie pozostały po tych słowach żaden ślad. Teraz żyję czem innym. Niech żyje mróz, rzeźkie, bez zdradliwie rozsnutej mdłości, powietrze. To tylko lubię. Rozumuję. Żuję w sobie myśl i szukam odpowiedzi na pytanie — dlaczego tak się stało?— ale jeśli nie znajdę, to trudno, bo zresztą mało dziś to mnie obchodzi. Przeszło. Pewnie tak być musiało. Idę zpowrotem. Nie lubię wiosny i lata — lubię zimę.

II

Jest godzina dziewiąta. Ciszę w pokoju rozpruwa jedynie marsz, niestrudzony marsz zegarka, tego wiecznego przyjaciela czasu. Jestem sam— wśród tylu rozrzuconych, czerniących się rozsypań; regularnie literami—książek, wśród niegdyś białych, dziś brudnych ścian, wśród tylu przedmiotów — jestem sam.

Myśl obojętnie się ślizga po wszystkim. Nie skupia liter

w słowa, nie wgłębia się, nie wgnieźdza w zakrętasy zakurzonego biurka, ani nie zatrzymuje się na łóżku. Nie chce się myśleć i nie chce się odpoczywać. Nie chce i nie może. Nie mogę przymusić siebie do odbierania jakichś wrażeń, zainteresowania się czemś. Machinalnie zwracam się w stronę zaciągniętego ciemnością okna. Rozmazane, wilgotne szyby nie wpuszczają żadnych kształtów, chociaż te na podwórzu, przed oknem istnieją. Patrzę, patrzę, chcę precyzyjnie się przez szkło, wpić się w ciemność i wyssać z niej to, co istnieje tam, co rozsiadło i rozpołożyło się na śniegu. Denerwuje mnie moja niemoc. Zrywam się, otrząsam z ospałego lenistwa — nogi otrząsam z tego balastu. Wychodzę na ganek. Po dachu staczają się krople wody, odrywają się od postrzępionych gontów i mocno uderzają w śnieg. Aha! Więc będzie odwilż. Schodzę z ganku i... nogi rozczapierzyły się, korpus wykonał kilka szybkich, nieregularnie wahadłowych ruchów — upadłem.

Jest szklista i śliska gołoledź. Powstałem. Idę dalej. Wydeptana ścieżka, werźnięta głęboko w śnieg, skończyła się. Poczynam brnąć. Stawiam nogi na szklistej, cienkiej warstewce, którą otoczył się śnieg, i przełamuję ją, łamię jej prawo do istnienia, a nogi zanurzają się, znaczą głębokimi śladami. W ogrodzie stoją wetknięte w śnieg pnie drzew. Spoglądam ku górze. Jest bardzo ciemno, więc niebo opadło na drzewa, o raczej drzewa podparły niebo i nie widać górnych gałęzi, nie mogę ich odszukać. Wyjętą z ciepłej kieszeni ręką wziąłem trochę śniegu. Jakaż różnica! Śnieg skurczył się i wydał tyle zimna, oziębził rękę; prędko rzuciłem tę grudkę. Ee... nie porządnego. Trzeba iść do pokoju. Jestem znów w pokoju. Inaczej się czuję — niż przedtem tą małą wycieczką — myślę, mam ochotę do życia.

Peregrinus.

Dział dla młodszych.

Album z fotografjami

(opowiadanie w gronie koleżanek).

Pewnego wieczora, wracając do swoich krewnych, wstąpiłam do mieszkania jednej z moich koleżanek.

Na jej prośbę zostałam na „wspólnej herbatce“, gdzie zebrało się nas kilka. Ponieważ nie miałyśmy zbyt dobrego humoru, zaraz po

spożyciu wieczerzy chciałam się pożegnać, by prędzej być u siebie w domu — sam na sam ze sobą. Koleżanki prosiły mnie jednak, bym tego nie uczyniła, przeto zostałam w ich gronie. One starały się mnie zabawić pokazywaniem przeróżnych babskich robótek. Mnie natomiast przypadł do gustu album z fotografjami. Jakież to miłe zajęcie, mieć w rękach typy ludzkie, tak czasem różne, tak charakterystyczne. Z każdej twarzy tchnie jego odrębna dusza. W rysach czytać można złość, dobroć, ambicję, upór, bezmyślność lub igraszkę oczu zalotnych.

Byłam bardzo albumem rozbawiona.

Przeczuwałam, że znajdę twarz mi dobrze znajomą. A może wspólne przeżycia. Może tylko wydarzenia. Wszystko jedno, siła podświadoma porywała mnie do sylwet wielorakich. Chciałam zwierzyć się moim koleżankom, że ten świątek, natłoczony fotografjami, widzę tak żywo, jakbym wśród nich obcowała, długo już żyła.

Na szeregu fotografii grupowych zatrzymałam wzrok. Przeczucie mnie nie oszukało. Uderzyła mnie mała twarzyczka, wtłoczona w duże grono wycieczkowiczów z Podhala. Góry, bajeczne zarysy przełęczy chatki góralsi, jakiś wysmukły przewodnik i chmara gości z miasta. Śród nich ujrzałam twarz osoby aż nazbyt dobrze znanej. Drgnęłam. Czułam w powietrzu szum skrzydeł nadprzyrodzonej osoby. Nie jestem zabobonna, jednak zdało mi się, że myśl moja przywołała go z grobu. Koleżanki, zaniepokojone zachowaniem się mojem, poczęły nalegać, bym wyjawiała to, co mnie zaniepokoiło. Ja zrazu niechętnie potem już siłą przyzwyczajenia zaczęłam swoje opowiadanie:

— Było to wiosną, w początkach maja. Słońce rzucało na ziemię jaskrawe plamy, wszędzie za, gdzie się rzuciło okiem, serec rwało się w bólu, chciało się skarżyć. Szczebiot ptaków i woń kwiatów upajały wokół mocą ożywionego balsamu. Świat śmiał się, jak rozbawione dziecko, wszystko takie miłe, że zapominało się o otoczeniu. Wieczory uśmiechały się do dusz młodych.

— Korzystając z pięknych chwil, zorganizowaliśmy wycieczkę. Z okrzykiem radości jechaliśmy z domu, żegnani przez służbę domową.

— Po długich mitręgach szukaliśmy odpoczynku. Humory nasze poprawiły się na myśl, że zrobimy przerwę w wycieczce. Nakoniec odszukaliśmy tor kolejowy, potem dworzec. Widok lokomotywy ucieszył nas. Nareszcie — siadamy.

— Liczymy grono. Wszyscy? Niestety, jak grom z jasnego nieba niespodzianie zupełnie padł na nas obecnych w przedziale. Jeden z naszych kolegów, złamany, przerażony, wrócił z krzykiem: tam leży we krwi, nieżywy. Ratunku! Zastrzelił się Henryk!

— Kto odważniejszy ruszył na miejsce wypadku. Mnie przykuło

nieszczęście do ławki. Sił nie miałam, by iść, by spojrzeć w szlachetną twa z tego młodzieniaszka, już bez życia.

— Znaleźli kartkę, rewolwer, gazety i kałużę krwi. Na kartce drżącą ręką zdołał napisać zaledwie tyle: „Odebrałem sobie życie, bo nie mogę znieść hańby rodziców. Żegnajcie mili towarzysze.“

— Okazało się, że zdemaskowano rodzinę nieszczęśliwego, który nie przypuszczał, że jego rodzice są bandą oszustów, wzbogaconych kosztem dobra państwa. Przyłapano rodziców w chwili, gdy ów młodzian przygotował się do wycieczki kilkudniowej w góry. Podrabiali monetę państwową.

— Dramat rozegrał się równocześnie wśród nas. Biedak nie mógł chwili tej dożyć, by móc oglądać ojca i matkę w okowach. Serce nie zadrgało, ręka szarpnęła cyngiel rewolweru i — strzał padł.

— Zginął zdala od swoich i na uboczu, oddaliwszy się od towarzyszy. Nikt mu nie mógł ulżyć. Nikt — prócz małej ołowianej kuli. Ona była mu siostrą i przyjaciółką.

...Oczy mi zasły łzami, nie mogłam się pohamować i nad albumem z fotografjami pochylałam się wzruszona i przejęta do głębi.

Walentyna Kisielówna (VI a)

A jak to było — opowiem.

W pewnej mieścinie, nad rzeką falistą, żył ubogi kowal. Rodzinę miał liczną a roboty było mało. Nędza zawitała pod strzechę kowalową i nękała głodem. Na nieszczęście swoje kowal nie gardził butelką okowity. Pił, ile mógł i nie wzbraniał się przed samogonką.

W chwilach zaszepienia biedny pijaczyna marzył o ukrytych skarbach, które podobno były w podziemiach kościoła zakopane przez zakonników. Tak wieść ludowa głosiła.

Licząc biedny kowal na skarb, zaciągał nawet lekkomyślnie długi u chłopów, obiecując im wielki procent. Tymczasem dzieci płakały, żona robiła gorzkie wymówki mężowi, że pozwala, by rodzina gniała z głodu.

— Trzeba nam pójść na żebry.. płakała kowalowa.

— Poł kościół — mruknął kowal i zatoczył się pod ławę.

Kowalowa załała się łzami i poczęła z dziećmi szlochać. Była chwila, że chyba szatan opanował dom, by rodzinę namówić do kłótni. Ale nędza ma też swoje pomysły.

○ szarej godzinie, gdy dzwon kościelny zwoływał wiernych na modlitwę, kowal wysunął się z domu i młotkiem pobiegł do głupiego Janka. Był to syn kościelnego, człowieka chciwego i chytrego. Zaczął kowal raić Jankowi robotę ponętną i opowiadać mu o skarbie, ukrytym w ziemi, w lochach klasztornych. Janek śmiał się i głupkowato patrzył na pijanego kowala.

— Ty ukradniesz klucze — szeptał chrapliwym głosem kowal, a ja będę czekał na polu, koło lipy Bartkowej, wedle krzyża. Potem się podzielimy łupem i kupię ci fuzję. Ty lubisz fuzję?

— Aha.. aha.. — pisał głupi Janek.

— A gdyby proboszcz się dowiedział..

— Aha, aha— wtórował bezmyślnie idjota.

I razem siedząc przy łóżówce, pochylili się nad stołem. Kowal mruzczał, mamrocząc niewyraźnie, Janek, uśmiechając się do błyszczących guzików kowala.

— Aha, aha. Wiem. Ty się ubierzesz w kiecki organiściny, masz taką mordę, jak i ona. Aha, aha... To będzie akurat. Aha!

— Niby może i dobrze — skrobiąc się w głowę, zezował w stronę Janka kowal.

I tak ułożyli się, że z kluczami proboszcza, w przebraniu baby, pójdzie kowal do lochu kraść ukryte skarby kościelne. Noc spędzili niespokojnie. Jeden wsunął rękę pod poduszkę kościelnego, drżący i uśmiechnięty, drugi czekał w kieckach organiściny pod lipą Bartkową.

O umówionej godzinie, po północy, wiatr dął bezustannie, a kowal, jak pokraka piekielna, w spódnicy, na krzywych nogach kołysał się, idąc z kluczami, lampką elektryczną i siekierą do ogrodu ks. proboszcza.

Wiatr głuszył szelest ludzki. Psy spokojnie leżały. Cisza. Kowal przeżegnał się, wdrapał się na mur, ogradzający obejście kościelne. Dzielnie pomagał mu w tej tajemniczej sprawie Janek, mocno dzierżąc w swej garści tył spódnicy kowala. Kilka razy z pod spódnicy wierz nęły koślawe nogi i mur był przeskoczony. Teraz kowal szedł z biciem serca do otworu, przez który droga wiodła do lochów kościelnych. Postępując, żegnał się kowal, odmawiając pobożnie „godzinki“. Janek z za muru pisał po swojemu, mówiąc do siebie: Fuzja, aha! fuzja... hahaha... i skakał, jak szalony z radości.

Wyprawa się jednak nie udała, bo kowal na widok nieboszczyka, zabalsamowanego w odkrytej trumnie, zbladł i zemdłał. Gdy wróciła przytomność, dąpnął kowal do domu. Żona nie mogła go poznać, myślała, że oszalał. Poczęła wołać kumoszki, by tego djabła przywróciły do zdrowych zmysłów. Baby, co miały pod ręką, chwyciły i wpadły

a każda uzbrojona w miotłę i zaczęły okładać po spodniach kowala. Kowal jęczał, jakby go obdzierano ze skóry.

— A masz, a masz — wołały rozbestwione baby.

— A czorcie łysy, a huliganie, a nicponiu.

— Na piec z nim, niech ogień spali...

— Niech mu czort tę djabelską spódnice smołą przyklei do grzesznej duszy—na wieczny wstyd.

Lecz myśl nie spoczęła i kowal nie dał za wygraną. Namówił swoją babę, poszli nocą do lochu i przeszukali piwnice. Skarbu nie znaleziono. Bába znalazła tylko plik papierów, zapisanych atramentem. Aże sama nie była piśmienna, poszła do nauczyciela i prosiła go, „coby to znaczyło, a może powiedziane, gdzie są skarby“.

Nauczyciel odsunął stary rondel, stojący na stole i ocierając brudną chustką wilgotne, rude wąsy, począł odsylabizowywać stare, poplamione pismo. Było tam wypisane, że „tylko ubóstwo zbawić może“, i tym podobne sentencje.

Kowalowa opuściła głowę i ze wstydem dodała: Hano, nieboszyk tak świętobliwy nie mógł wziąć pieniędzy na tamten świat. To i pewnie ich wogóle nie było.

Antoni Apicionek (V a).

Kochane zwierzę.

W domu mieliśmy mądrego kota. Nazywał się Maciuś Ziabek. Maciuś, dlatego, że dużo jadł. Ziabek zaś, że, gdy go nam ludzie litościwi przynieśli do domu, był tak przemoczony i umazany błotem, że podobny był do żaby, wziętej z brudnej kałuży. Ale kiedy wysechł i wylizał brud szorstkim języczkiem, i urósł i utył troszkę był z niego wcale ładny kotek. Na główce miał czarne łatki, białe łebek, przedziałek na puszystej sierści, szary płaszczyk na grzbiecie, ciemny koniuszek ogonka i oczy, jak marzenie. Duże, takie duże czarne oczy. Pod spodem bielusięki. Nauczyłam go porządku, z potrzebą wychodził do ogródka. Nie spóźnił się na obiad, zawsze bardzo punktualny. A kiedy kucharka przynosiła mięso z jatki, wiedział, że ma służyć, stojąc na tylnych łapkach. Wiedział, kiedy wracałam z lekcji, a wtenczas biegał z ostatniego pokoju, wskazując mi na ramię Ziabek był inteligentny. Wiedział np. co jego pani mówi do niego. Zmieniał głos, zależnie od okoliczności. Ina-

czej miauczał, gdy chciał wyjść, inaczej, gdy był głodny, inaczej, gdy był chory. Czas m chorował na brzuszek

Zachciało się kotkowi przechadzki: miauu, miauu i pani jego rzuca najpilniejszą robotę i otwiera lufcik.

Jeżeli śnieg padał, to nasz pieszczoł siadał w oknie i patrzył czy duży śnieg, by łapek nie zamoczyć. A nie chciało się zamoczyć nóżek, choć wiedział, że pilno mu iść. Wtenczas między obu lufcikami kotek się umieścił wygodnie, z fantazją ogonkiem ruszył i noskiem pociągnął powietrze. Gdy miał dość tych zimnych nastrojów, kótek skakał po dywanie w saloniku, robiąc istne harce. Razu pewnego kotek zamarł ze strachu, bo gruby, ogromny czarny kot z zielonemi oczami, stanął pod drzwiami, jak upiór. Więc powiedzcie mi, czy nie kochane to zwierzę? Moja Kizia!

Rebeka Świdlerówna (kl. I).

M o s a r z.

(mój pobyt na wsi).

Po skończonym roku szkolnym wyjechałam z siostrzyczkami do Mosarza, do wujka, na czas wakacyjny. Wieś Mosarz jest położony w ładnej miejscowości. Ze strony południowo — wschodniej znajduje się majątek pana Piłsudskiego, przez który przepływa mała rzeczulka, Marfa. Na górze pozostał spalony pałac za czasów wojennych, którego wygląd jest straszny, gdyż niektóre ściany są czarne i zupełnie zniszczone. Ruina. Dalej znajduje się mleczarnia, do której chłopi z wsi i okolic dalszych zwożą mleko. Stąd chłopi mają pieniądze na pokrycie potrzeb gospodarskich.

Nieco bliżej domu wujka buduje się ogromny gmach, przeznaczony na mleczarnię parową, obok tego budynku znajduje się kościół, dzwonnica i plebanja murowana. Przed kościołem znajduje się ogromny rynek. Zaraz przy kościele — dom Ludowy. Tam odbywają się odczyty, pogadanki, przedstawienia i zabawy taneczne, na które uczęszcza tamtejsza młodzież. We wsi, Mosarzu, znajduje się 5-0 klasowa szkoła powszechna. Obok niej ładnie zbudowana nowa remiza strażyacka. A dalej — poczta i para sklepów.

Ze strony południowo — wschodniej znajduje się duża góra, a obok niej małe jezioro, położone wśród malowniczych łąk, przez które wije się wspaniała Marfa. Brzegi jej zarosnięte są krzewami, Z łączek korzystają mieszkańcy Mosarza, zbierając siano, zabezpieczając sobie tem żywność dla bydła hodowanego w celach gospo-

darezych. Ze strony południowej znajdują się kolonie wsi „Mosarz“. Ze strony znów zachodnio — północnej leży folwark Cerkawiszcze, za którym znajduje się duże jezioro na przestrzeni czterech km². Jezioro z jednej strony otoczone jest dużym lasem p. Piłsudskiego. Na wschód jezioro połączone jest strumykiem z Marfą.

Dom wujka znajduje się w pobliżu kościoła i rzeki Marfy, gdzie bawiłam się chętnie z koleżankami, tu czytałam książki i uczyłam się do egzaminu. Z pomiędzy koleżanek najlepszą była Alina Gintowtówna, która obecnie kształci się w gimnazjum w Głębokiem. Wyuczasy minęły szybko. Mosarz sprawił miłe wrażenie, miałam bowiem dużo tam chwil dla mnie niezapomnianych. Mleka, miodu, truskawek u wujka nie brakowało, miałam tam odpoczynek doskonały.

Wanda Sienkiewiczówna (kl. I).

Wolna trybuna.

Głos ucznia.

Przeoglądając spis organizacyj na terenie gimnazjum dziśniejskiego z roku ubiegłego i obecnego, zauważyłem, że liczebnie sekcje pozostały te same. Jedna rzecz mnie uderzyła. Koło filologiczne, które w roku ubiegłym cieszyło się powodzeniem, świadczy, że ma rację bytu. Poznanie świata autycznego, jego kulturę umysłową i materjalną, na której przecież jest zbudowana nasza cywilizacja, jest rzeczą konieczną w Zakładzie średnim.

My, młodzi, którzy mamy podejmować rozbudowę życia społecznego i politycznego, musimy mieć źródła, z którego byśmy mogli czerpać wzory. Oderwani od podstaw, mamy utrudniony lot. Mamy nadzieję, że entuzjazm filologów pobudzi do życia te sekcje.

Uczeń.

Po pierwszym okresie.

Przeczytano nam w klasie stopnie. Zrobiliśmy rachunek sumienia bardzo solidny. Panowie wychowawcy uczynili wszystko, co do nich należało. Każdy z nas otrzymał należną nam porcję, jakoby kazanie na niedzielę i święta. Słuchaliśmy tego wszystkiego bez szemrania, a nawet z należnym szacunkiem. Myśli nasze unosiły się, jak gaz, Gromadziliśmy bóle swoje w stratosferze.

Oczy nasze błędziły po katalogu nauczycielskim. Usta koleżanek szeptały nerwowo: Kto się w opiekę. Nastrój? O nim można powiedzieć, jak o kadłubie wisielca zgilotowanego — żaden. Zdecydowani byliśmy na wszystko, a więc: na „wierówkę“ ojca, pas rzeźmienny matki, głodówkę dobrowolną, karcer honorowy, cięgi moralne i spowiedź z nieswoich grzechów.

Czy głodny może uważać na lekcje? Czy bezdomny, który każdą noc spędza u innego kolegi, może napisać wypracowanie domowe? Czy „wzięty na łaskę gospodyni“ do różnych gospodarskich sprawunków może mieć czas na powtórzenie szkolnego wykładu? Czy dziurawe buty mogą przejść kałuże? Czy po sto razy cerowane spodnie, jak „sitowie“, mogą wytrzymać najłżejszy nacisk ciała? Czy myśl, że w terminie najbliższym (gdym kartofli nie kupi od ojca żydek-handlarz) — wydała mnie z klasy, pomaga optymistycznym kontemplacjom? Nie! I sto razy powiemy: Nie! Lecz dwójce z bohaterstwem odparliśmy jak huraganowy ogień najeźdźcy. Nie daliśmy się zakatrupić po I okresie szkoły.

„V“

Młodzi i starzy.

Są młodzi, którzy wszystko widzą, czują i rozumieją. Nie są zarozumiali, są cierpliwi i chcą, by życie stało się doskonalsze. Postęp posuwa naprzód człowieka. Winy, ze słabości charakteru wypływające, są niezapisaną kartą naszego nieuspołecznienia. Młodzi znają swe prawa, ale wiedzą, że są obowiązki. Nie rozbijają całości, bo dzięki zrzeszeniu istniejemy jako związek samorządowy młodzieży. Młody nie drwi, nie kpi sobie z ludzi i nie pluje na to, co jest doniosłe. Młody nie jest wachołem. Są starzy, którym na odlocie ćmi się w głowie. Chcą coś bardzo oryginalnego wymyśleć i sądzą, że w ten sposób zwrócą oczy drugich na siebie. Starzy są przesyleni narkotykami, pobudzają duszę trującym dymem nikotyny. Chcą być dojrzałymi w swej etycznej nie-dojrzałości. W Dzisiaj są nadludzie przed wkleśłem zwierciadłem, robiąc „dla fasonu“ strasznie mądre miny.

„9“

Ze szkiełkiem i okiem.

(Echo dyskusji między kolegami).

Człowiek realny mówi językiem potocznym. Nie potrzebuje on omawiać spraw, bo te sprawy są dość pospolite. Nie musi używać zdobnictwa, bo metafory są zbyt częste. Nie używa fantazji w rzeczach codziennego użytku, bo figur i tropów stylistycznych jemu nie bardzo potrzeba. Człowiek realny mówi: „Słońce krwawo zachodzi“, a nie użyje wyrażenia: „Zachód spłynął krwią słońca“, bo krew tylko (podług niego) gramatycznie łączy się ze słońcem, ale w rzeczywistości słońce niema krwi, tem samym taki zwrot może wydać się niedorzecznością. Ale metafora przy literackim myśleniu ma swoją rozciągłość i im dalej w las, tem więcej drzew ma nasza poezja. Np. w „Kołysance“ Słonimskiego znajdujemy takie powiedzenie: Noc dmucha w księżyc jak w okarynę. Metafora o wielkiej rozpiętości, bo łączność duszy naszej z przyrodą i wszechświatem jest dalekosiężna. Dalekosiężną jest przyroda, jeżeli księżyc może wpływać na przyływ i odpływ morza i na nasz obieg krwi, nawet może odkształcać naszą świadomość (np. lunatyk). Obok słownika do dosłownego przekładu myśli, mamy słownik frazeologiczny do wieloznacznych odsyłaczy dla danego znaczenia wyrazowego.

Np. czasownik „zbierać“ spełnia różne „funkcje znaczeniowe“, mówimy „zbierać jagody“, ale i „zbiera się komu na płacz“, „zbić zarzuty“, ale i „zbić grusze“, a także „zbić kogoś na kwaśne jabłko“.

Z tem łączy się bogactwo porównań i wielka skala możliwości stylistycznej. Każdy człowiek od małości ma własny temperament, własny sposób myślenia, patrzenia i odczuwania. Jeden jest bardziej pobudliwy na obrazy grozy, drugi sielankowo-łagodny, inny znów do rozlewności podatny. Styl charakteryzuje człowieka już od lat szkolnych. Sienkiewicz był zamknięty w sobie, dlatego i jego styl jest zwięzły. Orzeszkowa była rozlewnej uczucia, dlatego w powieści jest dużo liryzmu, a mniej epickiej zwartości. Chciejmy więc pieczołowicie chronić młodego przed ośmieszeniem, bo ciernie tworzą skazy w charakterze młodzieńca. W „Kuzni Młodych“ mamy w 11 Nr. z r. II wiersz lwianiaka p. t. „Pieśń o chlebie“ wyrażenie, „a w nozdrzach pachną ścięte kłosa“. Wyrwane z całości jest śmieszne, w całości nie szpeci. Wszystko przebaczyć, znaczy—zrozumieć.

Autorowi listu z Padwy.

Na podstawie jednego numeru nie można wyrokować o wydawnictwie. Pewne zarzuty zdają się być niesłuszne. Każdy z nas urodzony i wychowany na Kresach, ma we krwi cechy tej masy, która go otacza i która go wydała. Zagadnienia białoruskiego zwyczaju mogą być obce dla Mazura, niejednego mogą drażnić, ale nas, tutaj na Kresach, żywo obchodzą. Dzieciństwo nasze wzrosło wśród białoruskiego obyczaju, nim oddychaliśmy, jak Mickiewicz litewsko-białoruskimi „Dziadami“. A dalej kwestja rocznic i obchodów. Nie uważamy, by rocznic historycznych nie powinniśmy czcić i utrwać drukiem. Historia przewala się przez nasze pola i parowy. Wszędzie oglądamy ślady nawały bolszewickiej, ruiny i pobojuwiska. Przechodzimy koło kości i kurhanów ludzi z epoki napoleońskiej. Spotykamy obrazy po kościołach i pamiątkowe kapliczki. Żyjemy na ziemi, która ma historję swoją i częścią jest mapy historycznej: czy ery Zygmunta Augusta, czy Stefana Batorego, czy r. 1863. Być ignorantem, to rzecz brzydka. Oczy nasze powinny patrzeć i na to, co leży pod ziemią najbliższą i na to, co mieszka na ziemi. Widzieć musimy i to, co doba niesie, ale wiedzieć o tem, co nam przekazano, co przesiać, co przechować i pomnażać pokoleniami. Upodobań więc osobistych nie można rozciągać na wszystkich, chcących „tak czy owak“ pisać.

„V“

Otwarcie Polskiej Akademji Literatury.

W Warszawie dn. 8 b. m., o godzinie 19-tej wieczorem, nastąpiło inauguracyjne posiedzenie, otwierające Akademię Literatury. Wacław Sieroszewski, jako najstarszy akademik, podkreślił w swem przemówieniu zasługi Stefana Żeromskiego, który pierwszy opracował zarys Akademji. Następnie wyraził żal za zmarłymi pisarzami, których jedynie pamięć żyje między nami. Brak już Reymonta, Kasprowicza, Przybyszewskiego i innych. Ci, którzy zostali, biorą na siebie obowiązek najlepiej symbolizować rzesze pisarzy twórczych piór. Następnie przemówił min. Jędrzejewicz, będąc wzruszony tem, że otrzymał odznakę akademicką, jako honorowy jej członek. Podkreślił, że wyjątkowe talenty przekraczają granice życia codziennego i gdy o nim słuch dawno zaniknie, jako o rze-

mieślniku pracy państwowej, wielkie nazwiska władców słowa i pisma przejdą do potomności. Zaznaczył równocześnie p. min., że literatura polska zawsze była barometrem patriotyzmu i walk o wolność, że słowo i czyn orężny szły zawsze w parze. Dowodem tego jest Marszałek Piłsudski, który i książkami, i szablą służył Ojczyźnie, uważając, że niema rozdziału między słowem a czynem w Wolnej Polsce.

Red.

Życie organizacyjne.

Na ostatniem wiosennem zebraniu członków U. S. W. został wybrany prezesem A. Woronowicz, wiceprezesem St. Urbelewicz, sekretarzem K. Oskierko, skarbnikiem L. Drozdowicz.

* * *

Nowy zarząd obsadził wszystkie sekcje, istniejące na terenie gimnazjum.

Prezesem sekcji literackiej została kol. St. Wierszyłowska. Opiekunem jest p. A. B. Cyps.

* * *

Prezesem sekcji historycznej został kol. J. Bujko. Kuratorem zaś jest p. prof. Ditrich Arem.

* * *

Na stanowisko prezesa sekcji dramatycznej powołano kol. Br. Piwowarczuka. Opiekunem jest p. prof. Wołoszczuk.

* * *

Prezesem sekcji L. O. P. P. został kol. E. Mirski, a kuratorem p. prof. R. Kamoda.

* * *

Prezesem sekcji oszczędnościowej jest kol. H. Łoybo, a kuratorem p. prof. Fr. Sztetyłło.

* * *

Sekcyjnym sekcji przyrodniczej jest kol. Szatybelko, a kuratorem p. prof. Z. Gergowich.

* * *

Na stanowisko sekcynego sekcji sportowej powołany został kol. B. Łatanowski. Opiekunem jest p. prof. J. Markiewicz.

* * *

Kierownictwo czytelnicy powierzono kol. F. Huttowskiemu.

* * *

Ks. Moderatorem sodalicy Marjańskiej jest ks. prof. S. Małachowski. Prezesem został Z. Wójciukiewicz.

* * *

Pierwsze jesienne walne zebranie członków U. S. W. odbyło się dnia 29-VIII-33 r. W związku z niestawiennictwem obranego na ostatnim posiedzeniu wiosennym wiceprezesa kol. St. Urbelewicza, na jego miejsce wszedł kol. B. Łatanowski (VI). Wniesiono nadto kilka poprawek do statutu. Uchwalono budżet na rok szk. 1933/34.

Doniosłe znaczenie posiada uchwała budżetu, gdyż została przytem załatwiona kwestja pożyczkowa i zapomogowa dla starszej klasy na cele wycieczkowe.

Szczegół ten zarejestrowano w statucie. Kilkuzłotowe subydjum pozwoli młodzieży gimnazjum dziśniejskiego, rzuczonej na najdalszy kraniec Polski, nawiązać stosunki kulturalne z resztą kraju.

* * *

Odbyły się dwa zebrania członków sekcji historycznej z referatem kol. J. Huszczy „Faszyzm włoski“ i kol. Burenia „Odsiecz Wiednia“.

* * *

Na zebraniu sekcji literackiej kol. Jan Huszczo odczytał referat p. t. „Młoda Polska“, oraz kol. Piwowarczuk p. t. „Pozytywizm w Polsce“.

* * *

W tym roku dzięki staraniom p. prof. Białoszczyńskiego powstało koło radjoamatorów. Ze względu na wielkie znaczenie kulturalno - oświatowe radja, grupka chętnych zajęła się konstruowaniem odbiorników radjowych. Objaw ten powinien nas wszystkich zainteresować, gdyż koło jest inowacją na terenie gimnazjum dziśniejskiego. Nauka fizyki przestała być dla nas martwym przedmiotem.

* * *

31. X. 33. Walne zgromadzenie U. S. W.

Po trzech lekcjach młodzież zebrała się w sali gimnastycznej, jako miejscu obrad. Z dniem 31 paźdz. upłynął okres nowicjatu dla nowowstępujących.

Statut U. S. W. opiewa, że każdy nowowstępujący do Zakładu uczeń musi odbyć dwumiesięczny okres nowicjatu, zapoznając się przytem z organizacją Samorządu Uczniowskiego „Współpraca”. Weielenie miało charakter wysoce uroczysty. Z ramienia grona profesorskiego przemówił ks. prof. Małachowski, poruczając nam starszym kolegom nowicjuszów i zachęcając do solidarnej współpracy. Następnie przemówił kol. prezes U. S. W. wyłuszczając obowiązki członka i znaczenie samorządu jako organizacji.

Po złożeniu przyżeczenia solidarności i bezinteresownej pracy w samorządzie, wydano każdemu nowicjuszowi zaświadczenie, iż z dniem 31 - X staje się członkiem U. S. W.

Drugi punkt porządku dziennego odnosił się do święta oszczędności. W związku z tem kol. H. Łoybo wygłosił okolicznościowe przemówienie, Z powodu ustąpienia kol. Oskierki K. ze stanowiska sekretarza U. S. W., większością głosów obrano kol. Wojniłowiczównę Irenę (VII).

Kalendarz reportera.

- 13. X - 33 r. Wycieczka młodzieży gimnazjalnej do pobliskiego lasu.
- 14. X - 33 r. Wieczornica, urządzona staraniem męskiej drużyny harcerskiej.
- 22. X - 33 r. Wieczór literacki w auli samorządu U. S. W. Na program złożyły się: odezyt na temat z literatury p. Aleksandra Bolesława Cypsa, oraz deklamacje p. H. Staniewskiej. Dochód przeznaczono na Przed-szkole.

Obchód imienin Dyrektora Zakładu.

28. X - 33 r. Rano młodzież gimnazjalna zgromadziła się w sali gimnastycznej, oczekując Solenizanta.

Niebawem ukazał się pan Dyrektor dr. T. Staniewski, niesiony przez uczniów. Za Solenizantem postępowali starsi uczniowie, a w koń-

cu grono profesorskie.

Pogodny nastrój panował na sali. Młodziociane serca zabiły mocniej na widok Solenizanta, z imieniem którego zrosły się dzieje zakładu naszego. Orkiestra powitała Solenizanta, a chór wykonał pieśń okolicznościową. Następnie przemawiali przedstawiciele organizacji: Imieniem Samorządu Uczniowskiego „Współpraca”, od Redakcji „Naszego Głosu” kol. Kasaty odczytał własny utwór, od drużyn harcerskich, sodalicji hufca i imieniem ósmej klasy - Kuczyński. Wkońcu zabrał głos p. Dyrektor, dziękując za życzenia i wyrażając chęć współpracy z młodzieżą. Rzucił hasło pracy produktywnej, a którą może tylko zapewnić spoista budowa instytucyj samorządowych U. S. W. Wieczorem tego samego dnia odbyła się zabawa taneczna.

Obchód święta odzyskania Niepodległości.

11. XI - 33 r. Piętnaście lat upłynęło od chwili zmartwychwstania Rzeczypospolitej. Chwila, w której ukazała się Wolna Polska na mapie Europy, głęboko wryła się w sercach Polaków. Obchody 11 listopada, jak Polska długa i szeroka, odbywają się rok rocznie. Dnia 10. XI, odbył się capstrzyk, a niezależnie od tego w sali samorządowej został zorganizowany okolicznościowy odczyt oraz produkcje wokalne, deklamacyjne uczniów gimnazjalnych. Na drugi dzień o godzinie 10-tej zostały odprawione nabożeństwa we wszystkich świątyniach. Po nabożeństwie zebrały się organizacje P. W. na terenie Dżisny, wojsko, drużyny harcerskie, straż pożarna i związek żydowski na rynku miejskim.

Porucznik Sztuka, po odebraniu raportów od poszczególnych kierowników organizacji, w krótkich, ale wznieśliwych słowach przemówił do wojska i wszystkich uczestników obchodu. Następnie z trybuny wystawionej na ten cel p. prof. Wołoszczuk przemówił w sposób podniosły i wzruszający słuchaczy. Słowa jego dobitnie akcentowały tragedję polskiego żołnierza, walczącego o granice ojczyzny. Wkońcu przedefilowały wszystkie organizacje przed miejscową władzą wojskową i cywilną.

O godzinie 19-tej odbyła się w „domu ludowym” akademja, urządzona przez Magistrat m. Dżisny ze współdziałaniem młodzieży gimnazjalnej. Na program złożyły się: przemówienie pana Dyrektora dr. Tadeusza Staniewskiego, deklamacje, śpiew i muzyka, oraz chór Związku Strzeleckiego wykonał kilka piosenek. Dochód przeznaczono na budowę szkół powszechnych.

Pan Dyrektor z przejęciem dał wyczerpujący obraz walk Odradzającej się Polski. Podkreślił trudności, na jakie napotykała armja polska, często nie mająca zasadniczych sprzętów ekwipunku. Ponieważ oświata jest podstawą bytu narodowego, bez którego naród ciemny nieby nie wykrzesał z siebie, Czcigodny Prelegent wezwał publiczność do ofiarnego popierania szkół powszechnych. Salę Domu Ludowego wypełniła po brzegi publiczność dzisiejska bez różnicy wyznania i narodowości. Śliczny transparent przyozdobił scenę naszą, nadając jej bardzo uroczysty wygląd. Należy z całym uznaniem podkreślić pracę społeczną p. prof. Godowskiego, który wystąpił z zupełnie nowym repertuarem wokalnemu - muzycznym w dniu święta państwowego.

Humor i satyra.

Wkleśte zwierciadło z działu „Dział ogłoszeń“.

EMERYT szuka wspólnika do intratnego przedsięwzięcia. Firma „Głodomór i Sp.“ Adres: Dzisna, ul. Miljonerów 7, parter, oficyna lewa. Hasło „Na cudzy koszt wspólnymi siłami“.

KUPIĘ natychmiast „od zaraz“ patefon używany do mącenia spokoju rodzinnego. Zaulek Morska choroba 15, na dole.

POSZUKUJEMY pana inteligentnego do folwarku „Pieskowa niedola.“ Zajęcie: dojenie kóz. Wymagane są wyższe kwalifikacje — albo świadectwo maturalne z kursów „dojenia bydła“.

N. D. R. Stronnictwo polityczne Nie — Do — Rajdów poszukuje ludzi bez matury, ale silnych fizycznie dla przeszkolenia swych Członków.

WALENTY Rafał Napoleon Podkuty udziela lekcji tańców najnowszych za szklanę wody sodowej (bez soku!)

FABRYKA „Samodzielność“ wyrabia w dużej ilości puste beczki dla bezrolnych rodzin w celach osadniczych na Filipinach. Dojazd wąskotorówką z Dzisny do Drui, a stamtąd piechotą na same miejsce przeznaczenia.

3 TOMOWY słownik. Wydanie pomnikowe. Ostatni wyraz techniki. Trzy miliony nieparlamentarnych wyrazów, przeważnie dwuznaczniki i bliskoznaczniki.

DYREKTOR kursów elementarnych w Końskich podkowach poszukuje zawodowych analfabetów do konwersacji z dziedziny nauk społecznych. Oberżysta.

Odpowiedzi Redakcji.

I-go (VIII). Przypominaliśmy, że pseudonimów nie uwzględniamy. Bardzo nas cieszy, że kol. jest tak pracowity. Prosimy nadesłać inne artykuły, podpisane prawdziwem nazwiskiem, a nadesłaue poprzednio poszły do kosza.

A. Ch (VI). Pracować dalej wytrwale. Artykuł „Przeznaczenie“ nie nadaje się do naszego pisma. Zresztą kol. może być posądzona o plagjat.

Redakcja

„Naszego Głosu“ z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, składa życzenia p. Dyrektorowi, pp. Profesorom, oraz szanownym Koleżankom i Kolegom. Pozatem wszystkim zamieszczonym Czytelnikom wysyłam pozdrowienie świąteczne.

Opiekun pisma: prof. ALEKSANDER BOLESŁAW CYPS.
Redaktor naczelny: MILECJUSZ ANDZILEWKO (VII).
Zastępca redaktora: DYMITR KASATY (V).
Komitet redakcyjny: WIKTOR GINTOWT (VII), ANNA CHRO-
LÓWNA (VI), JÓZEF BUJONEK (V).
Wydawca: MŁOZIEŻ GIMNAZJALNA w DZIŚNIE.
Rękopisów nie zwraca Redakcja.

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian i przeróbek
w rękopisach.

Anonimów nie bierze się pod uwagę.

Autorzy kryptonimów muszą Redakcji podawać istotne swoje
nazwiska, by uniknąć nieporozumienia.

Prenumerata pisma rocznie wynosi: bez przesyłki . . . Zł. 2,50
z przesyłką „ 3,—

Cena ogłoszeń zależna od umowy.

DRUKARNIA

Z. SZEJNBOLMA

GŁĘBOKIE, plac 3-go Maja 26, tel. 45.

Wykonuje wszelkie roboty
drukarskie wykwinnie,
szybko i tanio.

Wielki wybór czcionek.
Szybkobieżne maszyny.

SKŁAD APTECZNY ALEKSANDRA HOFFUNGA



Został przeniesiony na
ulicę Żeligowskiego, róg
Wileńskiej (dom Ettin-
genowej).

KSIEGARNIA



Polskiej Macierzy
S z k o l n e j
w **Dziśnie**

Zaopatruje młodzież w książki szkolne
oraz we wszelkie przybory piśmienne.

Czytajcie i rozpowszechniajcie

„Nasz Głos”.

